

JOSEFA AL CALUSZKI
GWIAZDA KOMANDORJI
PROJEKTOWA I WYKONAWCZA
FABRYKA KAMIENIOWYCH
WARSZAWA
WYDAWCA
WARSZAWA
1931

JÓZEFA AL. GAŁUSZKI:

„PROMIĘŃ I GROM“ J. Czernecki Kraków 1920
(Nagroda konkursowa Min. Kultury i Sztuki).

„BIESIADA KAMELEONÓW“ Gebethner i Wolff 1921
(Nagroda konkursowa Min. Kultury i Sztuki).

„UŚMIECHY BOGA“ Gebethner i Wolff 1922.

„DUSZA MIASTA“ Gebethner i Wolff 1922.

OKŁADKA ZYGMUNTA KRÓLA

JÓZEF ALEKSANDER GAŁUSZKA

GWIAZDA KOMANDORJI

GEBETHNER I WOLFF

WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

1925

O KAMIENNYM LWIE

Wjechałem w świat na lwie,
w złotym szyszaku słonecznym
(o śnie! — dzieciństwa dobry śnie!)

W parku ogromnym, prawiecznym
u pałacowych bram
dwa lwy drzemały kamienne —
Hej! — na jednego z nich,
na tego z prawej strony
naoklep siadałem sam
i hen w niebiosa promienne
ja, lnianowłose chłopię
na mocnych barkach lwich
na wichry, na przegony,
z groźnem wołaniem junackiem
goniłem w pełnym galopie
za słońcem, za złotem cackiem — —

Świat obiegałem wkrąg drogą tajemną
w gromkich hejnałach trąb,
choć ten sam zawsze kwitł przede mną
dużych piwonij klomb — —

O lwie! — kamienny lwie!
którego-m kielzał ze sznurka wędzidłem —
stary mój druhu, coś ponosił mnie
ku słońcu wicherów skrzydłem!

O lwie! — coś patrzył z pobłażliwą wzgardą
na prośby moje swem okiem przygasłem
kiedy-m pod paszczę zatrzaśniętą twardo
podsuwał skrycie kromkę chleba z masłem — —

O lwie, kamienny lwie!

GODZINA DWUNASTA

Dławi mnie, męczy i żre spękanych ulic skwar,
oślepy biały blask ukrzyżowanych placów — —
Wzniesiony kurz z pod aut czepia się wyschłych warg —
dwunasta dzwoni w mózgu jaskrawą żółtą racą — —

Lepka i tłusta woń rozmiękłych wpół asfaltów
czepia się jak rycynus grymasu suchych ust — —
zwiąja się ulice dal jak w ogniu blachy karton —
przyciężko arytmicznie tramwajów bije puls — —

Upadam w pył nawznak, na białych ulic krzyż:
nerwy mi miażdży żwir, sunący zgrzyt podeszew — —
samochód ciężarowy: sapiący ciężko zwierz
pazurem twardym kół serce jak lancet przeszył — —

Zjawia się anioł mój z upudrowaną twarzą,
podnosi przenaświętsze lilje rąk dziewiczych —
nad umęczeniem mem dłoń swą jak hostję waży
i sakramentów swych wymierza mi policzek — —

Aż ślepiec przechodzący natknął się na mnie laską,
jako Samarytanin ujął mnie w dłonie starcze
i lzy z pod pustych powiek rosą niebieskiej łaski
zlewał jak Miłosierdzie w spoliczkowane serce — —

Prof. Tad. Garbowskiemu

Codzień wieczór nakręcam mój budzik „Tam-Tam“ —
strzałkę dzwonka nastawiam na godzinę siódmą —
życiem włada mem twardo ów tyrański pan:
złudnego czasu śmieszne, mechaniczne widmo — —

Przysiadł na skraju biurka jak stalowy gryf,
patrząc we mnie przez długie czarnych rżęs wskazówki:
odmierza moje kroki martwym okiem cyfr,
dwunastoma bliznami upiornej tęczówki — —

O zmroku mi wspomina chwile oczekiwania,
kiedy kpił, przedłużając umyślnie minuty,
to — gdy ze szczęścia mego wyraźnie podrwiwał,
pędząc w siedmiomilowych uskrzydłonych butach — —

Kiedy cicho sam siedzę rozmawia z mym pulsem — —
Nie wiem, czy tyka serce, czy budzik „Tam-Tam“?
Śledzi na kliszy mózgu wibracje emulsji:
smutków cienie i złoty blask słonecznych plam — —

We śnie, gdy mu z pod szponów w inny czas ucieknę,
nad sercem mojem siedzi jak żarłoczny sęp —
aż o brzasku, nad uchem, rozśmiej się wściekle
chichotem przeraźliwym metalicznych szczeń — —

He! he! — stary tyranie! — (aż się z śmiechu dławię!)
od lat całych już zemstę zgotowałem ci:
W pewną noc ciebie znowu przy łóżku postawię,
abyś liczył me tętno, podzwaniał w mej krwi — —

I jakgdyby nigdy nie, cicho się położę —
a o siódmej nad ranem — ha! ha! ha! mój kpie!
przetniesz ciszę chichotu ostrym, lśniącym nożem,
by przerazić, jak zwykle, chore serce me — —

Będziesz się trząść z wściekłości, dzwoniąc w wilcze kłau-
porozkręcasz sprężyny, bębniąc: trrrr! trrr! trrr! [ce —
a ja nie — leżę sobie, nawet nie drgnę palcem —
serce moje wtulone w ciszy wiecznej kir — —

Zadławisz się, zacharczysz i staniesz dziadygo,
z braku żeru rytmicznych krwi mej dzwonnych skand,
nie stanie ci ekranu pod filmów twych migot:
kategorji rozsądku, jakby orzekł Kant — —

PRZEZ PALCE

Lato dogasa w blaskach pokrólewsku:
cicho na polach dostojnie i złoto —
przezysty, szklany, olbrzymi nieboskłon
wisi nad ziemią jak błękitny potop — —

Liście już żółkną — czas bocianich wieców:
(roczne wybory lotu przewodników)
dzisiaj jutro w dale bezmierne polecą
sznurem różańca w modlitwie błękitu — —

Życie jak okręt w sferze morskiej ciszy,
z pirackich masztów opuściło żagle —
pełne jest słońca, zadumy, zamyśleń,
pełne dośytu i wyzbyte pragnień — —

I człek przedziwnie pobłażliwy w sądach:
dziewce ulicznej i świętej westalce
z dobrym uśmiechem w ciszy się przygląda
przez złotem słońcem zrózowione palce — —

NA MIELIZNACH

Dzień się letni we wieczność wydłużył,
w bezprzeznaczność się złotą roztopił:
na pluszowej ułożył się chmurze,
pałac senne, lilijowe opjum — —

Żagiel słońca w chmur długich lagunach
osiadł grząsko na koralu rafie,
purpurową w dal sączył się łuną
jak przed torem zamkniętym semafor — —

Zamyślenie nad duszą nawisło
nieruchomem, turkusowem morzem — —
W kryształową, promienną kotyskę
świat jak dziecko do snu się ułożył — —

Bezruch drzemał na polarnej osi —
gwiazd równanie ktoś dawno uprościł — —
Wolnem tętnem szła w piersi kosmosu
krew stygnąca przez serce wieczności — —

Leniwie jak woły dni letnie się wloką
w twardem jarzmie słońca noga za nogą —
świat się wydłuża w pustych rżysk prostokąt
pod strażą stogów — —

Dnie jak twarze Agnieszek i Barbar
z oleodruków, kupnych na odpuszcie:
w otoku złota, w płomienistych barwach
stereotypowy umęczony uśmiech — —

Kwitną szatwje: gałązki czerwonych koralii:
przed słonecznym ołtarzem zawieszone wota — —
Dzwon niedzielny po nieba błękitnej emalii
snuje nieszporne „Zdrowaś“, niby srebra motek — —

Aleją zapomnianą, zasłaną lip liściem
idzie, z ksiąg wymodlony, z dużych chromych liter
przez okulary starców — idzie uroczyście
w skośnem słońcu, o kuli Bóg-paralitik — —

Runął Cezar od sztyletów pchnięć —
spadł płaszcz szkarłatny z imperatorskich bark:
gasł dzień —
na rzęsach zwisał mu mrok ciężki jak ręk:
śmierci cień —
stygmat spękanych Brutusowych warg — —

Niebo, jak orkiestralny kocioł,
opięty mocno sinym pergaminem
drżało jeszcze od pieśni czerwonej — —

Z ponad miasta wieżycy wysmigła
złotym krzyżem: płomieniem paproci
i wnikła w pieśń iniekcijną igłą,
zastrzykując w tętnice morfinę — —

Na Anioł Pański zajęczały dzwony — —

Most w nocy, jak Lucyfer o podniebnym wzroście
rozpiął dwa łuki: skrzydła nietoperza,
niby ramiona pijanego grajka —
przystanął w rzece rozkrokiem
i gra na ręcznej harmonji:

(Szum szyn, maszyny syk — pociąg na moście —
stu-ko-ty, stu-ko-ty, stu-ko-ty kół — —)

Rozpiął żelazne łapy na ekspresu widmie
i dmie w mrok krwawą oczu wyłupanych bajką
pieśni błędnego rycerza — —
Z okien ekspresu w szlochu głębokim
spływają łyzy czerwone i gasną w toni — —

Tragiczna pieśń — muzyk pijany —
ramię mu zwisło wdół:
runął w toń pociąg — w krzyk czarnej piany,
jak z brwi Chrystusa krwi sopła,
jak aeroplan
z kilku tysięcy stóp,
co się przez niebo pali — —
jak rubinów kolja z rąk Marji z Magdali
rzuciona w Chrysta grób — —

Bóg owieczki wypędził na hale
białorune, niezliczone stado —
na błękitu opalowe dale
owce zbitą wypędził gromadą — —

Sam se usiadł kędyś na Lodowym
w burej guńce we mglicy wysoko
i w zadumie, w zwisie sennej głowy
poprzez Rysy patrzył w Morskie Oko — —

Białym owcom rozbiegłym po niebie
świt topazem już runa ozłaca —
W zasępieniu wciąż patrzy przed siebie
w burą gunię otulony Baca — —

Wreszcie dźwignął orlą swoją głowę,
fajkę nabił z kapciucha tytoniem
i rozgrzebał zgliszcza jałowcowe
paleniska gdzieś za Żabim Koniem — —

Krwawy węgiel niósł zwolna ku górze:
okrucz słońca położył na fajce —
za owcami patrzył po lazurze
chodzącymi w topazowej bajce — —

HYMN ŻŁOTY

Dziewanno! święty kwiecie przeklinanej ziemi —
Królowo odłogów i ugorów polskich —
Modlitwo strzelista piaszczystych wyrębów —
Łasko promienna odtrącających gleb:
Złota Dziewanno!

Ręko modlitewnie wzniesiona ku niebu —
Wieżo gotycka o kwietnych różycach —
miodna Przystani powietrznych żeglarzy:
smutnych żałobnie i pszczoł rozzwonionych —
Złota Dziewanno!

Jasna Radości przyleśnych samotni —
wierna Strażniczko pogranicznych kopców —
krzyży przydrożnych Marjo z Magdali —
cicha Szarytko polskich pobojoiwisk:
Złota Dziewanno!

W swej samotności dostojna Dziewico —
Pieśni słoneczna przeklinanej ziemi —
Jak w serca mego niewiednych tęsknotach
w srebrnych mgłach ranków kwitnąca Hosanno:
Złota Dziewanno!

HYMN SPIŻOWY

Mistrzowi Leonowi Wyczółkowskiemu

Święty dębie! święty mocny! święty nieśmiertelny!
Bożycu królowładny puszczy, borów słowiańskich,
któryś koronę wznosił nad gontyn okapy
przed lat zczeszłych tysiącem zamierzchłej legendy —
bądź pochwalony!

Święty dębie, po którego pooranej korze
złote węże piorunów z chmur w ziemię spadają —
który królewskie wichry bierzesz w moc konarów,
jak kwilące niemowlę w ramion kołysankę —
bądź pochwalony!

Święty dębie, co byłeś i jesteś i będziesz
chorągwią wszechpotęgi nad trumną pokoleń —
który wielkiej żałoby szumiąłeś chorały
ginącym wiekom i ludom — i bogom —
bądź pochwalony!

Święty dębie — ty, który w korzeni oplocie
trzymasz jak w szponach orlich samo serce ziemi,
pulsujące w twej skroni zielonej radośnie,
niby serce gołębia w ciepłych dłoniach słońca —
bądź pochwalony!

Święty dębie, co ciężki, olbrzymi baldachem
dźwigasz nad sakramentem zadumy człowieczej —
co w liści swoich wieńcu zagasłe oblicza
niesiesz nad falą wieków, mocny, nieśmiertelny —
bądź pochwalony!

BEETHOVENOWSKA SONATA

Czarny aligator drzemał pod palmami:
skrzył w światłach elektrycznych hebanową skórą —
uśmiechał się łagodnie śnieżystymi kłami
odchylonej paszczęki: świetną klawiaturą — —
Węszyl krew —

Przez kły, po wyszczerzonej paszczęce
trzępotem wiotkich skrzydeł mew
przewiały blade ręce — —

We wicherach skowytach zatoczył się świat —
hyjenty wypełzły na łup
i księżyc poświatał ze stropu nieb padł
na ślady czerwone, krwawe ślady stóp:
ktoś poszedł w pustynie i sam —
(ktoś co miał kiedyś grozą człecznej twarzy
przepędzić z świątyni handlarzy)
przeszczuto go psami u zamkniętych bram — —
Ktoś poszedł w pustynie i sam — —

Przez kły po wyszczerzonej paszczęce
trzępotem wiotkich skrzydeł mew
przewiały blade ręce — —

Dygotał wicher brzezina —
po nerwach białym siek — —
Ehej! czarne aligatory płyną
falami świętych rzek — —
Modlitwa białych rąk
o złoty dzwoni gong — —

Ó księżycowej godzinie
przy głupiej, sprośnej piosence
ktoś umył chamskie swe ręce
w czerwonym winie — —

Na mroźnych polach w księżycowym lodzie
biały się szkielet trząsał —
strachliwe brzozy w mglistym korowodzie
z wichurą poszły w płas — —

Człowiecze ścierwo rytm Sonaty
rozzucił, wdeptał w martwe pole:
żelaznem zgrzeblem jak październik
zdarł z włókien nerwów — — Białe gnaty
szkieletu puścił w tan — —
Nerwy przyczepił na brzóz czole:
czerwone nitki zbyt kory
w chybocie zimnych wichru pian
płynęły falą nieskończoną
nad oceanem, skutym jednym brzegiem — —
Spazm, szloch sonaty trząsał drzewin koroną:
nerwy rzucone na wiatr jak nici pajęcze
szkarłatnym ciężym ścięciem
stężałe, srebrne księżycowe tęcze — —

Przez kły, po wyszczerzonej paszczęce
trzępotem wiotkich skrzydeł mew
przewiały blade ręce — —

Księżyc się śmiał —
miłosny zew
słał miłowanej ziemi —
tężył umarłe ręce do jej płomiennych trzew:
do pocałunku szlakami gwiezdami
wyciągał usta na szyi żyrafy,
wdzięczył upierne lice — —
(W obserwatoriach seismografy
we fibry pchnęły iglice) — —

Na mroźnych polach w księżycowym lodzie
człeczy się szkielet trząśł —
nerwy w brzóz drżących mglistym korowodzie
z wiehurą poszły w płas — —
Od nieba gwiazdy na ziemię
padały miljonem rybich łusk — —
szkielet dygotał: o błyszczące ciemię
tłukł się stężały mózg — —

Z krainy Martwego morza
od asfaltowych wybrzeży
przyszła płomienna Rut:
jej szat krzyk krwawy skoralił przestworza —
niebo w krew ścięła borealna zorza,
legła purpurą na białej pół szerzy:
iścił się ognia cud — —

Na mroźnych polach w księżycowym lodzie
człeczy się szkielet trząśł — —
Rut przyszła w ognia świętego pochodzie —
zdmuchnęła ciemię z czerepu
i w mózg wtuliła ust płomień i pons — —

Na białem czole zbiegły się jej brwi
w węgielną rysę jedną — —
Mózg płonął w czarze czerepu we krwi — —
U niebieskiego sklepu
śmig gwiazd zapadał w bezedno
pod modlitewne mistyczne sny — —
Drżała księżycyca twarz chora
w mrozach gasnącej Sonaty — —

Rut całowała — —

W mózgowe płyty
soplami lodu padały łyzy
czarnego aligatora — —

MUZYKA OD STEPÓW

Pazurami wszczepiła się w serca
i krew chłepcze zachłannym jęzorem
dusza muzyki od stepowej dali — —

Lzy ścięte w lód
u rzęs jej zwisły ciężarem,
przekleństwem,
które źrenice rozwiera
na Losu straszliwe lico
o szczękach zwartych zacięcie —
o oczach - lampach wieczystych
poprzed ołtarzem Tragedji — —

Duszę wwiała tumanem śniegu
wichura tonów w step
beźmierny, pusty, bez Boga step —
Poniosła w dale i podesłała
duszę bieluchną śniegów chustą
pod monstrancją nieba
na świętych ołtarzach kurhanów — —

Przegnały stepem kibitki
w podzwonnym dźwięku łańcuchów —
w bruzdy zorały dusze
w świstach - skowytach batogów —
(na śnieg pocięła krew) — —

Muzyk o oczach błękitnych
na długiej ludzkiej piszczeli,
z rany kurhanów wyjętej
pieśni rozpaczne grał — —
A wiatr mu sypał jak liści
chmurą ciągnącą nad ziemią
w twarz miałem złotej mozaiki
od carogrodzkiej świątnicy — —

I słuchał muzyk westchnienia
Wołgi - mateńki rodzonej,
płaczącej głośno od wieków
nad dolą synów bolesną — —

Wołga lkała daleka, rozlewna —
ta, co się przewala złomami wód
ogromna, sina, wieczysta —
i ta, co gwiazdy oplata,
srebrne, samotne ostrowy,
falami mętnej głębiny
na nieb szafirze wśród nocy — —
i ta, co w szumie się niesie
nad stepów ciszą wieczorną
skrzydłami błędnych źórawi —
Wołga, ta dusza muzyków
ogromna, sina, wieczysta — —

A nad białymi murami
prześwietej carów stolicy
nad złotych kopuł przepychem
jęczały dzwony pogrzebów —
We mgle ich wołań błękitnej —
jak wczesnym rankiem jesieni
słońce nad światem się chwieje —
tak nad świętymi murami
z popod korony rubinów
żrenice cara płonęły — —

Muzyk się chylił w pokłonie
oczy pokornie uchylał —
na długiej ludzkiej piszczeli
z rany kurhanu wyjętej
grał pieśni smutne, rozlewne
jak żale Wołgi-mateńki,
co w głębnych nurtach dzwoniły
klątewnym krzykiem i buntem — —

Wpatruje się wprost we mnie ten straszliwy potwór:
łeb stary w gmatwaninie kołtuniastych wiór,
o czole pooranem głęboko jak ugor,
gdzie nocą w dżdżach i wichrach chodzą widma zmor — —

Oczy jak Lourdes sadzawki, pełne strupów krwistych
raz wraz pełną we mnie żądła, szpady kryty sztych —
wtedy łukiem gotyckim brwi ku górze strzela,
spadając wodotrysku rozwichrzoną łzą — —

Twarz jak siatka srebrzysta — i w sieć tę ust pajak
korsarskie długie łapy uwikłaniem wprząął,
drgając w niej konwulsyjnie szataństwem prześmiejców,
przebitą żółtą szczerbą dwu spróchniałych kłów — —

Wargi nadżarte zlekka przez tkliwe syfilis,
niebieszcza się jak sznurki wyschłych w słońcu glist,
z których dusza w rozkurczach śmiertelnych konwulsji,
jak szczur wodny wysuwa owrzodziły ryj — —

O naświetlonej słońcem lilijowej twarzy
siedzisz — uśmiechem zmysłów zapatrzona w przestrzeń,
na oczach ci się kładzie ton szkarłatnych marzeń
dzwoniący krwią i ogniem w słonecznej orkiestrze — —

Kąciki ust wzniesione jak koniuszki żądeł
w półuśmiechu, drgającym jak motyl na szpilce,
nieodgadniętym, dziwnym uśmiechem Giocondy
białych niedopowiedzeń, szkarłatnych przemilczeń — —

W ramion swych zatulonych jaspisowej misie
trzymasz gasnące słońce jak głowę Proroka —
uśmiechasz się tajemnie ogniem żarłych wisień
ust, które kładłaś słońcu miłośnie na stopach — —

Za tobą pręga nieba jak krwawy miecz kata
obwieszcza twe zwycięstwo cięciem prostej linji —
a nad ziemią fanfarę czerwoną gra szatan
szkarłatną, purpurową orgią georginij — —

Idą rytmicznie: trapez głów —
twarze jak ciosy spiżowych brył —
kwiaty przy czapkach w wylotach luf
i tuman kurzu, biały pył — —

Pułkowy marsz — błysk złotych trąb —
żelazne ścięgną tysiące nóg —
ruch wahadłowy tysiąca rąk —
raz — dwa, raz — dwa: grzmi bruk, bruk, bruk — —

Żywy mur, milczący mur
przez środek ulic wali
kamiennej rzeki twardey nurt,
lawina szarej stali — —

Tłum wyje — kwiaty — płacz i jęk — —
Pierś wprzód! jak trumny wieko —
głuche zawarcie wilczych szczęk —
rozwartą wszsz powieka — —

Byle przejść! (tysiące ócz!! — tysiące ócz!!)
krokami przejść gwardzistów!
Pułkowy marsz: przez serca skurcz
tą pałki tamburystów — —

Piers wprzód!

byle przejść tę drogę na Golgotę —

(tysiące ócz!!) — byle przejść!

a potem — wszystko jedno — potem:

wszy — głód —

śmierć!

SZARŻA UŁAŃSKA

Pamięci wspaniałej szarży pod Komarowem w r. 1920 — 8mu pułkowi ułańów im. ks. Józefa Poniatowskiego

Szwadronami do szarży m-a-ar-sz!!

Ruszy z kopyta kłusem — galopem,

świstem i burzą wicherata brać —

druzgotać pędem, topić potopem,

sobacze ścierwa i pruć i kłwać — —

Hej! szable w dłoń i lance w dłoń!

hurra! hurra! hurra na wroga! — —

Na wicherze struną rozpięty koń

w żeleźcach szabel słońca pożoga — —

W przegony z wichrem — — w brzuchy ostrogi!

twarze wtulone w szumiącą grzywę — —

Z drogi psiewiary, psiesyny z drogi!

w glorji słońce płoną szablice krzywe — —

Hej! hej! — rotmistrzu — wrogów czarniawa

czerwienią płachet płomiennych skrzy!

od pędu łuna na oczach krwawa —

prują ze świstem wicher końskie łby — —

Ryk! — piorun: granat rozdarł kolumnę:

kilka się w ziemię zapadło cia! — —

Później wawrzyny, krzyże na trumnę,

teraz nie pora — po trupach wewa!!

Jak one orły skrzydła rozpostrą —
pomstliwość piersi jak ogień żre:
lanc błyskawicę pochyla ostrą,
ni wprzód sprężone pazury lwie — —
Chrapy grają — ławą wałą
w słońca kurzawie, w płatach piany —
przez piersi wichrów szyją stałą
żółte ułany, polskie ułany — —

I niósł ich wicher i niósł ich pęd,
ten pęd, ten pęd, ten pęd, ten pęd,
pęd opętany — —

Mkną pomyleńce

ludzie i konie zwolnione z pęt —
chłopy zwałiste, szablice w ręce —
prężne nóg mioty biją w ziem z mocą —
na nozdrzach krew — płaty piany —
idą wicherą żółte ułany:
ten pęd, ten pęd, ten pęd,
pęd opętany — —

Zdruzgocą, zdruzgocą, zdruzgocą, zdruzgocą — —

Łom, łomot, trzask — wrzawa grzmotliwa —
ryk potępieńców — Lance przez żebra —
grochot, chroboty krwawego żniwa —
Na łby ze świstem pioruny z srebra

naodlew zgóry — tak z pełnych strzemion!
Och! — krwi bluzgoty i łbów odszczepy:
chłopy jak snopy ścielą się ziemią —
pogrozą w ślepie bije strach ślepy — —

Żeną jak było przed się gromadą
azyjatyckie ścierwa, wywłoki, —
zaświstem burzy na karkach jadą
w chrap, w chrap charkocie, w bluzgach posoki,
w błyskańcach szablic — —

W brzuchy ostrogi!

z drogi, z drogi, z drogi, z drogi!
Zdruzgocą, rozniosą, rozniosą na szczet
polskie ułany, żółte ułany — —
Ten pęd, ten pęd, ten pęd, ten pęd,
pęd opętany — —

Przyjdzie na bojuwisko służba sanitarna
w świt, na pole błyszczące od czerwonej rosy —
pobiera wasze ciała, jak pszeniczne ziarna,
wykłosione w ściernisko od rozmachu kosy — —

Zesypie was w dół jeden, w cichy spichlerz boży — —

W pierwszą burzę, co w ziemię worze lwie pazury,
Bóg wam na grób „Virtuti“ piorunem położy —
dekret nań błyskawicą podpisze przez chmury — —

A historia zamieści w rubryce: „Ofiary“
o was nikłą notatkę w te słowa mniej więcej:
„Bezimienni... złożyli... w dniu... w proch ziemi szarej...
na cegielkę Ojczyźnie... serc 10.000...“

W waszej sławie, jak w szkarłat niebios owinięci
poeci chodzić będą — samozwańcze bogi,
biorąc — za was — daninę królewskich dziesięcin
z serc, co im miłowaniem upadną pod nogi — —

Drżał łąd od setek tysięcy kopyt —
niebo się w lunach pławiło po krawędzie świata:
przez rżące, skrwawione piersi Europy
szedł On wśród gromów, apokaliptyczny Szatan — —

Przez Cisę i Dunaje, srebrne ziemi trzewia
przepruł się zwartą hordą milijona koni,
na skrzydliskach pożogi czarne noce przewiał,
kopytami po gwiazdach zadzwonił — —

W srebrnych rozbryzgach dźwigał się z rzek łożysk,
sępem się krwawym jawił w stepów żółtym pyłe
i siekł błyskańcem gromów: czarny Wicher Boży —
Gniew Boży — Bicz Boży — Attyla-a-a-A!

Azyjatyckich hord mordy kosookie
z nad grzyw koni świeciły żrenicą szakali,
przez śrzeżogę, ponad kopce mogił
wyteżoną ku dalekiej Galji — —

A tętent kopyt po oceany grzmiał,
szeregi szły za szeregami wgląb —
fala za falą, z za fali fala fal,
aż w jęku drżał, dygotał w grozie łąd — —

Po gruzach miast, po siół zwęglonych zgłiszczach
przewalał cielsko potworny wraży zwierz,
a za nim w ślad, dmuchając w pusty piszczel
po stosach czaszek szła szczerzoscześka Śmierć — —

Morze kruków czarnemi skrzydłami od ramion
Jego rzucało mroki na szkarłatny pożóg —
On na śnieżystym koniu — On Czarny Archanioł
w chmurze Hunnów, jak błyskawic biały w niebie wylot
bił gromem w pierś Europy: czarny Wicher Boży,
Gniew Boży — Bicz Boży — Attyla-a-a-A-A! ha! ha! ha!

Nozdrzami węszył krew, krew katalońskich pól,
czerwonych wód snił lunę Sekwany i Marny —
przeświętej Romy krzyże błyszczące z wieżyc stu,
Wielkiego Starca strach i korny kłon proszalny — —

Koń kopytem rubiny z koron rwał i tłukł,
nad święty wspiął się krzyż papieskiej tyjary — —
Mordem, zarazą, śmiercią, grozą i pożarem
siekł Bicz Boży — Attyla-a-a-A-A! — ha! ha! —
Czarny Bóg!

AHASWERY

Na wszystkich linjach, w wagonach III. klasy
jada, wiecznie jada,
w dnie zwykłe, w święta, w szabasy —
z pakami, z tobołami
czarną gromadą,
brudne do ohydy —
dniem, nocą
szwargocą,
kiwając brodami:
ży-dy, ży-dy, ży-dy, ży-dy — —

W wyświechtanych chałatach, cuchnących cebulą,
w filcowych kapeluszach oslizłych od potu,
w dziesięciu na ławie, jak pluskwy się kula —
a od kół dygotu
trzęsą się im pejsy — —
Z zaplutemi brodami siwe patriarchy,
młode Icki, Aronki, Mojżesze,
plugawe szmajgelesy,
kłapouche parchy
dniem, nocą
szwargocą,
cmokając oślinione wargi
i jada, wiecznie jada
na jarmarki, na targi,
na wszystkich linjach, w wagonach III. klasy,
z pakami, z tobołami
czarną gromadą

w dnie powszednie, w szabasy,
paskarze, waluciarze
wszystkimi pociągami
ja-da, wiecznie ja-da, ja-da
in wrzasku i gwarze,
kiwając pejsami,
brudne do ohydy:
ży-dy, ży-dy, ży-dy, ży-dy — —

Czarnemi pazurami zgarniają jak śmiecie
zwitki, paczki, tobołki — a w oczach ich groza —
jeszcze ich palą pręgi na skulonym grzbiecie:
razy Chrystusowego powroza,
którym przepędził przekupniów z świątyni
na cztery świata strony — —

Z paczkami, z tobołami
w pociągach na każdej linii
czarną gromadą
na połów, na żery
złotej mamony
kupejące Ahaswery
ja-da, ja-da, ja-da, ja-da — —

Okno moje wychodzi na tory —
(na sieć relsów stalowych, na arterję główną):
lśnią znakami równości algebraicznych wzorów
o wielu niewiadomych, nierozwiązanych równań — —

Leżą znakiem równości od Wschodu na Zachód,
między Światłem i Mózgiem (żelazny talizman)
jak łańcuchy przesłanek kreślonych na piachu,
wybiegających w trudny, piekielny sofizmat — —

Patrzę często przez okno, wzrok wzniośszy od książek
in sieć szyn w dali splecionych w znak nieskończoności:
Czy też Wielkie Równanie ktoś kiedyś rozwiąże?
czy jakiś logik — Wielki Sylogizm uprości?

Milczą relsy, na drzewcach jak Chrystus rozpięte —
ale w noc, gdy semafor ku górze się wzniesie,
ni gąbka wilgna żółcią na trzciniowym pręcie —
westchną piersią przestrzeni: pędzącym expresem — —

W drzeniu ziemi i w wichrze jak dwie łyzy czerwone
ściekają w serce nocy światła lokomotyw —
pasma okien pociągu lśni jaskrawym gromem,
jak bok, otwarty włócznią — nad światem — z Golgoty — —

Świt łamiący się z światłem świec na kandelabrach
miał kolor twoich oczu: barwę morskiej fali — —
na twarzach taneczników świt znużeniem zadrgał —
w białym mazurze racę krwi ostatnią spalił — —

Dwór się na wargach nocy bezustannie jarzył,
ni papieros w twych krwawych, zaszerokich ustach — —
Ciała zapach — jak w mleku wykąpanych węży —
ostrzem nieśmiertelników po nozdrzach mnie muskał — —

Rytm biodr w drapieźnym pląsie lubieżnej pantery —
i dostojęństwo rasy: misterjum lenistwa:
znużenie ócz od sennych perspektyw szpalerów —
uśmiech na quattrocenta wzorowany mistrzach — —

Splonął twój jasny pałac — W zgorzeli popiołach
znalazaś z holenderskiej porcelany wazon
(w różowe smugi się w ogniu pożogi wypalił)
znalazaś okruch duszy, skryształony w lazur — —

Mówiłaś — —

Żółta świeca znużenie gromniczne
siała na pusty stolik o świtanu modrem:
całą noc tu w milczeniu siedzieli nad bridge'em —
milczą, na suknie kredą pokreślone robry — —

Zajeżdżały atlasem błękitnym wybite
biskupie kryształowe i hrabskie karoce:
siność dostojnych twarzy uwapniona światem —
skrzywienie ust w uśmiechu jak zwietrzały ocet — —

W noc jedną wystrzelone i przejrzałe kłosa
ranek wyjął doszczętnie księżycowem sierpcem — —
Naodjezdnem warg siność szeptała półgłosem,
że ktoś tej nocy przegrał w wysokiej grze — serce — —

Drżą w tobie nerwy, gdy dotknę twej ręki,
jak druty telegrafu szarpnięte przez wiatr
i radosnej depechy szaleństwo w nich tętni — —
Ze samolotu słońca Bóg zrzucił ci kwiat
ciemnej purpury na serce twe ciche — —

Bije ci w skroniach zegar najświętszą godzinę
krwią młodą — grzmi sygnałów metaliczny ton:
Pociąg twojego życia z stalowym przepychem
nadchodzi od Dróg Mlecznych — drżą promienne szyny,
za chwilę z hukiem wpadnie jak wichur, jak grom — —

(Nie bądź jak ci spóźnieni, bezradni podróżni,
którym z przed nosa pociąg ich umknął gdzieś w świat,
co po brudnych stacyjkach wyczekują próżno
dziesiątki głupich, beznadziejnych lat — —)

Pojadę z tobą! — Naczelnika stacji
przekupiłem: nasz pociąg skieruje do gwiazd!
Mijając Venus, w jakiejś gwiazdnej konstelacji
legniemy poszarpani wśród ekspresu drzazg — —

Oczy twe, nad którymi zawisłem przez mgnienie
buchnęły we mnie ogniem zielonawo-szarym —
w nim spłonęła ma duma jak te nad płomieniem
zwisłe, napoleońskie bojowe sztandary — —

Sygnetem ust zamknąłem ócz twoich powieki
trochę senne i ciężkie jak angielski porter —
i wtedy prosto z nieba słońca złoty cekin
wtoczył się dźwięcząc w serce moje przez aortę — —

Gra serce jasną pieśnią jak rojny ul pszczeli
pełny miodu, wśród śnieżno rozkwitniętych sadów
i żądza w niem się plezie jak ze skalnych szczelin
wąż wypełzły pod złote kiście winogrodu — —

Stałem się twoim pierwszym królewskim wasalem:
ramiona twe jak wstęga orderowej glorii
zawisną na mej szyji — — głowa twa wspaniale
upadnie mi na piersi Gwiazdą Komandorji — —

Tak dobrze mi było iść z tobą pod ramię
 ty, śmigła dziewczyno, wysoka jak ja!
 rytmicznie nam kroki oddzwaniał firmament:
 raz — dwa — raz — dwa — —

I czułem nieledwie radosną grę ścięgien
 pod smagłą twą skórą i mięką jak plusz — —
 Nad sercem nam świecił znak en-tej potęgi
 zapachem szaleństwa, młodości i róż — —

Wesoło śmiech dźwięczał twój w pustej ulicy
 jak dzwonki srebrzyste nad śniegiem u sań — —
 A piersi my nieśli otwarte do zwycięstw
 w rozbryzgi wichury, płomieni i pian — —

Na ciele swem niosłaś ust moich pieczęcie,
 pieczęcie czerwone, czerwone jak lak,
 błyszczący sygnetem nad listu zamknięciem:
 strzegący tajemnic, stężałej krwi płat — —

Usta twoje spadają na warg mych zachłanność
 jak jabłka koralowe w sadzie na murawę —
 jak jarzębiny, co się przed Najświętszą Panną
 na rozstajach dróg krwawią Chrysta stygmem krwa-
 [wem — —

Wsączają się w me wargi jak krew z ran żołnierzy
 w usta ziemi, co była im świętą ojczyzną —
 jak tęsknota ku niebu wijących się ścieżyn
 po turniach pomazanych słońca krwawem krzyżem — —

W SŁUPKU CZARNEJ RĘCI

Pospieszny punktualnie dziś odszedł z Warszawy
23-20

sypnął świetlików czerwonych pożarem
na zmarzłe, białe dachy martwego przedmieścia — —

Przeleciał przez most głucho, nad światel różańcem,
po które topielice z wiślanych przerębli,
jak po rajskie owoce wyciągają palce
długie, cienkie, skostniałe, o szponach jastrzębich — —

Miasto jak cmentarzysko, ogromne, odświętne
łuną krwawą płonęło, jak w wieczór Zaduszek,
jeszcze drgało mi w piersi gorączkowym tętnem,
miasto — miasto, w wyblakłej królewskiej purpurze — —

Jak żyłka czarnej ręki w srebnym termometrze
szedł pociąg pod źrenicą Wielkiej Niedźwiedzicy
przez łań biały, wśród ówierkań metalicznych świerszczów:
telegraficznych słupów ważnych wtajemniczeń — —

Krzepły szyby: noc biała srebrzyste koronki
zasunęła nade mną, jak nad snem w kolebce:
gdzieś na Chiny, Japonję na Anam i Tongking
kwieciami białej czereśni upadło me serce — —

Zawisłem w bezprzestrzeni, z wichrami zeswatan —
nic nie miałem prócz siebie i twojej miłości — —
W słupku ręki, mierzącym złą gorączkę świata
za krajem Wschodu Słońca urządzałem pościg — —

Życie dziś moje to dni czekania
 na cichuteńki do drzwi twój stuk —
 na one chwile umiłowania,
 kiedy się w sercu uśmiecha Bóg — —

Spadasz jak gwiazda z srebrnych przestrzeni
 w zaczarowany, cichy mój świat — —
 Witam cię błyskiem stalowych źrenic:
 dwóch do przysięgi wzniesionych szpad — —

Szaleję, tańczę, jak żongler z szczęścia:
 z browninga kulę ślę w asa kier —
 wyzywam wszystkich djabłów na pięści
 i w krwi twej chodzę jak Robespierre — —

Ty w aksamitny śmiechu dyszkancik,
 z moich dziecinnych ciesząc się głupstw,
 puszczasz kółeczka błękitne z „Xanti“,
 jak Bóg swe światy, z czerwonych ust — —

Wróciłem nad ranem — — List piszę
 a dzwoni mi we krwi relsów stalowa orkiestra:
 szalone presto cięte na zwrotnic rejestrach
 i flageolety skrzypcowych naciszeń — —

Słupy telegraficzne jak grajki-cygany
 nad wibracją drutów chwiały wiatru smyczek —
 a ze stacji mijanej w pół zdławiony dwonek,
 jak w huraganie organ ministranta: „Amen“ —
 zgasł brzękiem złotych monet,
 w powietrze rzuconych muzyce — —

Pociąg pożarem krwi w stalowe żyły świata
 wpulsował się i wgryzł jak pocałunków szal —
 w hypnozie semaforów po czarnych nocy kwiatach
 gorącym tchnieniem ognia przez pustą przestrzeń wiał — —

Zgrzytem mi w nerwach wyją żelazną pieśń hamulce,
 lęk nietopezim lotem o żebra głucho dzwoni —
 zatrzymywany pociąg arytmji bije pulsem
 jak przerażone serce, krzyżące wśród agonji — —

Dusza ma jeszcze w strzępach błądząca na przestrzeni:
 po zesuplonych jędrnie stalowych szyn węzłiskach
 zielenią i czerwienią semaforowych źrenic
 jak po dziewiczych biodrach się w pocałunkach ślizga — —

Iskrami myśli gaśnie na torfowiskach grząskich — —
Budnikowi Wielkiemu prośbę rzuca jak głaz,
aby odgiął miłośnie zwrótnie lśniące gałązki
i mój pociąg wyrzucił do gwiazd — —

Piszę ten list do ciebie — i napisać ci muszę,
żem się przez mrok ku tobie jak przez ciernie znów darł —
że cię brałem na usta wśród najbielszych ze wzruszeń
jak jaśminowy płatek z namiętnych nocny warg — —

I znowu w twej miłości chodzę jak w purpurze:
niby cesarskie jabłko dzierzę serce twoje —
oplotłam tobie skronie w pocałunków różę
poeto, królewiczu na gwieździe mych rojeń — —

To moje sto dni cesarstwa, sto dni
napoleońskiej mojej epopeji,
plonące żywą krwią
na wichry rzuconej pochodni — —
Ja wiem: to błysk ostatni szaleńczej nadziei —
to moje Waterloo — —

Potem mi pocałunek na oczy położysz,
jak umarłym składany pieniążek —
o! mój gwieździsty księżę! —
położysz go tak cicho ustami srebrnemi,
jak Bóg kładący słońce o wieczornej zorzy
na martwe powieki ziemi — —

Po chmurach huczy wichura —
 w szuwarach skrzydeł szum —
 trzcin suchy trzask —
 w sitowiu pisk
 (zmierzchu brzask:
 sabbath szatańskich sum)

Szeleszczą liści wióra
 od ścierni pustych rżysk:
 na żwirze liści ślizg
 wichru gwizd — —
 Z brzoź
 gałęzi ścina mróz
 blaszki złote
 (zwidy snów)
 opowieści
 liść szeleści
 szepciem słów — —

W szyb rzeszoto
 siecze słoń, —
 pryszcze deszcz,
 monotony, senny deszcz — —
 W zeschnięte bluszcze
 z sykiem pluszcze
 w dźwięku szkła
 (mózgu dreszcz —
 iza — —)

W szyb poszczęku
 w wichrów jęku
 w zmierzch omglisty
 suną światem antychrysty —
 za szybami
 jarzą złemi źrenicami
 (wietrzą psy: szczek i pisk)

Deszczu szum — kropel bryzg — —
 Zębów szczęk —
 drżenie rąk —
 ziąb —
 lęk — —

Wichru świst — —
 Twój ostatni czytam list — —

A gdy życie swe będę, jak Stary Testament
przeglądał — jak zmurszały, pożółkły pergamin,
nad tobą karty księgi rozewrą się same —
życia mojego cudna Pieśni nad pieśniami! — —

Na wyblakłych źrenicach zagrasz mi wspomnieniem,
jak świt w szyb srebrnych kwiatach, wykwitłych w mróz
[krzepki,
w ten najcieńszy z poranków, w Boże Narodzenie,
co do studenckiej mojej zaglądał izdebki — —

Gdy soki w drzew tętnicach prą się ku koronom,
wystzelając w listowia szumiącą fontannę,
a rozwarte głęboko święte ziemi łono
drży w tęsknocie za siewem, za złocistym ziarnem —
zakwitają Wam oczy jak górskie jeziora:
są wilgotne, ogromne, ni otchłań bezdenne
i wehlaniają nas w siebie, jak snop reflektorów
cmy, hypnotyzowane liljowym strumieniem — —

Wszczepiają się Wam w serca czerwone tętnice
Matki-ziemi, pragnieniem rozpierając łona — —
Zakwitają Wam oczy przecuciem tajemnic:
są ogromne, bezdenne, jak świat nieskończone — —

GWIAZDY UMARŁE

I ciebie jasna — kocham — o Marjo z Magdali:
miedziane węże włosów twych czuję na stopach —
uśmiech mi się twój w sercu jak myrrha wypalił,
na ręce, pierś i nogi raną ust twych opadł — —

I ciebie Mona Lizo, co uśmiechu szydem
tniesz jak ostrzem sztyletu krzyk krwi pożądliwy,
a ślizgasz się po skórze aksamitem skrzydeł
bezpamiętnych, w noc parną szepcanych modlitew — —

I ciebie kocham, dawno umarła markizo,
coś w willi Vedrigottich pośród złotych winnic
upadała na sen mój nagich ramion krzyżem,
wskrzyszona krwi łomotem tętnic „barbarzyńcy“ — —

Ciebie nieznaną panną z kaplicy ementarnej
w trumnie, ni gwiazdka śniegu cichutko leżąca —
której usta-m rozchylił, jak balowy karnet
pocałunkiem, kreślącym wielkie imię słońca — —

I ciebie kocham święta Liljano w selskinach!
warg twoich noszę jeszcze niezgojone blizny)
ty, co w pieśń mnie porwałaś, w bożych wichrów finał,
który w duszy się w szary spopielił sofizmat — —

I ciebie, która jeździsz tramwajem Nr. 2,
co się śmiejesz, jak anioł z Reims starej katedry — —
Pani! spojrzeń twych jestem płomienistą żertwą,
jak żagiew samolotu na błękitach modrych — —

Pochłonałem was, gwiazdy, w kosmosu przestrzeni,
po samotnej orbicie żerujący gigant
i wraz w zderzeniu z wami wyrzuciłem w zenit
nowych światów mgławice, wirów błysk i migot,
bym z ukochaną moją, co za lat tysiące
w dwudziestej wiośnie mnie swą miłością obdarzy
mógł po odwiecznej drodze iść na boży koncert
wśród gwiazd umarłych dawno olbrzymich ementarzysk — —

O WIELKĄ MIŁOŚĆ CIEBIE PROSZĘ

Boże! Ty wielki Samotniku wśród gwiazd,
który wisisz, jak śpiący piorun nad duszami —
Ty, który wihrem zrzucaś orle piskłę z gniazd,
by się o tron Twój w chmurach krwawiło pierściami —
oto stoję przed Tobą, przez Ciebie wezwany
na jakimś wielkim, pustyni nieznanym bezmiarze
sam — —
czuję, jak mi Twe oczy w sercu wypalają rany,
jak ręce Twe nade mną drżą w błyskawic żarze,
słyszę trzask otwieranych piorunowych bram — —

Porywasz raz wśród życia potężnymi szpony
duszę z człowieczych piersi na wielką pustynię —
i stajesz przed nią w ognia płaszcz opłomieniony,
co Ci z bark majestatem purpurowym płynie — —

Stoję przed Tobą: o wielką Miłość Ciebie proszę,
zdolną me serce palić i pożerać — —
o! nie o szczęście i nie o rozkosze —
Daj coś, za co-by warto mi umierać!

Nie przyjmij ode mnie jałmużny groszowej,
jeśli mi Miłość w Swojej łasce dasz —
Zawiśnij nade mną jak bicz piorunowy —
nie zwracaj mnie z drogi ojcowskimi słowy,
lecz uderz, uderz w twarz!

Gromami dzwoń o serce i siej w nie, jak w rolę
przeoraną głęboko gwiazd bolesne ziarno
i płomienistym palcem wypal na mem czole
bruzdę wielkiej tragedji, krwawą a mocarną — —

Gnaj mnie tęsknotą w obłęd Twych pustynnych włości,
gdzie fatamorgan bramy słońcu kazałeś otwierać —
lecz owiń w płomień serce, w żar wielkiej Miłości,
za którą warto umierać!

MAJAKI

Stoimy na wzgórzach majaki - szkielety
i wicher nam gwizdże na żebrach —
na niebios purpurę jak na epolety
nasz zygzak rzucamy ze srebra — —

Stoimy półwidne na wzgórzach zatknięte,
dziwadła nieznanie nikomu —
jak maszty nad morza dźwignięte odmętym
najbliższe błyskawic i gromów — —

Stoimy na wzgórzach jak drzewce sztandarów
na niebie widzialne dla Znaku —
jak krzyże nad światem w szkarłatach pożaru,
my widma — my dusze majaków — —

My drogę znaczymy przez błękit zórawiom
i dziki nad nami mknie gołąb —
nad nami gwieździste gościńce się mgławią —
nad nami trza lecieć aniołom — —

My znaki na wielkiem błękitów bezdrożu
przy ścieżce na święty Monsalwat —
nad nami przelata zwycięsko jak orzeł
płomienna tęsknota i sława — —

Koło nas przechodził na górę Kalwarji
pod krzyża brzemieniem sam Chrystus —
rycerze Graalowi przemknęli jak mary —
koło nas w zbroicach ognistych — —

Z Assyżu Franciszek z wilkiem bratem swoim
szedł pobok i śpiewał i tańczył — —
I tędy przejeżdżał w połamanej zbroi
na koniu Don Kichot z La Mancy — —

A niby nikomu niezdatne stoimy
po wzgórzach dalekich jak w zwidach,
czekając na piorun — samotne olbrzymy —
na kamień ów z procy Dawida — —

Otom dzisiaj wyjechał na Graala szukanie
 od szarugi, szarzyzny, od miernot i lichot
 (krzyż-em skreślił: A Słowo niech Ciałem się stanie!)
 na tęsknice-m wyruszył — ostatni Don Kiehot — —

Dość-żem duszy w zdawkową monetę przetopił —
 pierworodztwo za łyżkę soczewicy zbyłem — —
 dzisiaj w czoło-m aż do krwi wtarł pokutny popiół —
 wargi mi spopielwały Pańskich świątyń pyłem — —

Wyruszyłem — — Pierś skułem ponurą zbroicą
 i kopije-m wziął długą, co żeleźcem skrzy się — —
 Jadę w słońce: me oczy jak winem się sycą
 krwią Chrystusa, płonąca w jaspisowej misie — —

Koń-towarzysz w miarowym zasepił się sępie — —
 Ciebie za nami się wlecze, długi jak soliter:
 wnika w miazgę sumienia, niby szpony sępie
 melodją słów bez treści, dźwiękiem pustych liter — —

Na wieczność wyjechałem — na święte szukanie!
 Ale kiedyś wśród wrzasku, w dźwiękach skocznych aryj
 wjadę wprost w tłum — na Twoje przyjadę konanie
 o Chryste! — na krzyż wbity, na górze Kalwarji!

Popatrzę w załzawioną Twą twarz cytrynową
 i dla oklasków tłumu, co wkrąg się rozwrzeszczał
 (krzyż zakreślę: A Ciałem niech stanie się Słowo!)
 swą kopiją Ci serce otworzę naprzestrzał — —

Krew pocięknie najświętsza wdół czerwonym miodem,
 jak z zranionego ula lipcowa patoka,
 którą w misę z jaspisu Józef i Nikodem
 schwyca: ostatnie Słowo wprost z serca Proroka — —

Ale wtedy, o Chryste! — pod krzyżem Golgoty
 dojrzę namiętne usta, jak krzyk żrałych kalin — —
 jak do drzewca przybity, drżący złoty motyl
 u stóp Twych mnie oślepi spazm Marji z Magdali — —

I z Golgoty pojedę na Graala szukanie — —

POST-SCRIPTUM

Czytelnikom ku uciesze
autora

Niekiedy chciałbym być świetnym pajacem
i rzucać po kuglarsku księżyców kulami —
z nosa wypuszczać w błękit komet złote race
przed wami państwo, przed wami — —

Z gwiazd srebrzystych nałożyć na szyję obrozę,
na szatę arlekina wyciąć szmat błękitu,
a potem: hop! — dać susa w zaświaty w przestworze
na trapez, zawieszony w podniebiu, u szczytu — —

I znów po gładkiej nieba posunąć posadzce
prosić do tańca Venus (zwyczajnie poeta!)
i jak iście przystało sfer błękitnych władcy
zatańczyć z Złotowłosą na gwiazdach menueta — —

W histrjońskich ukłonach królewskiego tańca
pomykać — a nad waszym lilipucim światkiem
błysnąć czasem (dla śmiechu!) hen z dróg mlecznych
[krańca
malowanym w wzór słońca promienistym — zadkiem — —

SPIS RZECZY

O kamiennym lwie	5
Godzina dwunasta	7
Budzik „Tam-Tam“	8
Przez palce	10
Na mieliznach	11
Skon lata	12
Zmrok	13
Katastrofa	14
Świt w Tatrach	15
Hymn złoty	16
Hymn spiżowy	17
Beethovenowska sonata	18
Muzyka od stepów	22
Naturalistyczny portret	25
Portret księżnej Iry	26
Piechota: Na front!	27
Szarża ułańska	29
Bezimienni	32
Attyla	33
Ahaswery	35
Lux ex oriente	37
Białe dwór	38
Pociąg, na który nie należy się spóźnić	40
Gwiazda komandorji	41
Na przestworza	42
Usta	43
W słupku czarnej rtęci	44
As-dur	46

Powrót	47
Sto dni cesarstwa	49
Czytam ostatni twój list	50
Pieśń nad pieśniami	52
Kwitnące oczy	53
Gwiazdy umarłe	54
O wielką miłość ciebie proszę	56
Majaki	58
Poeta	60
Post-scriptum	62